

218
Jak być Polakiem?

Są różne szkoły. Jedna nakazuje, by kłaść się spać i budzić rano z Polską na ustach, śnić Oria Białego (najlepiej w koronie), mieć niewzruszone poczucie dumy i wyższości nad innymi z tego powodu, że się Polakiem jest, nie myśleć inaczej i o niczym, jak tylko po polsku o polskości, żyć polskością, karmić nią, pompować, nadymać, zamykać w polskości na wieki wieków amen.

Inna — uzyskująca w ostatnich latach znaczące wpływy — koncepcja sugeruje coś zgoła odwrotnego: odrzucenie plemiennych obciążeń, przezwyciężenie przesądów bogoojczyźnianych, przywiązania do języka, kultury, tradycji, rezygnacje z obywatelstwa, odcienie od zaściankowych korzeni, upodobnienie do innych, cywilizacyjną unifikację, rozplynięcie w wielkim europejskim morzu ludzi rzekomo nijakich, ale wolnych, szczęśliwych i bogatych, hosanna!

Prawdopodobnie mamy tu do czynienia z dwiema stronami tego samego medalu. Nie znajdziemy się nigdy naprawdę w Europie, jeżeli nie przezwyciężymy w sobie „polskiej choroby”, jeśli Polak nie wyzwoi się z Polaka”, i będziemy w Europie nikim, jeżeli Polaka Polak w sobie zabije. Znajdziemy się w Europie, gdy Polak po prostu znormalnieje, nauczy żyć w czasie teraźniejszego, a większość energii intelektualnej przerzuci z roztrząsania przeszłości ku myślom o przyszłości.

Takie wnioski można wysnuć z uważnej obserwacji dzisiejszego życia, w którym — na tle europejskiej festieni ludów

— w zachowaniach pojedynczych ludzi, reakcjach grupowych, aż po debaty senackie i sejmowe i kampanię prezydencką — nie trudno dostrzec uzewnętrznienia się wszystkich polskich kompleksów, które przez kilka dziesięcioleci usiłował przezwyciężyć swoim piarstwem Witold Gombrowicz. Można przypuszczać, iż wszystkie jego na ten temat refleksje,

wych niespodziankach, na jakie w życiu natyka się każdy, nim się ostatecznie u/zde-/formalizuje.

Narrator dobywa z rupieciarni pamięci postną biesiadę u pewnej arystokratki, której uczestnicy cokolwiek się zabawiali kosztem gościa spoza sfery, nazbyt naiwnego i wrażliwego, by dostąpić współudziału w bardzo wyrafinowanej

ki przez młodego Gombrowicza na scenie zagościło się. Postny kalafior został doprawiony pikantnym polskim sosem. Rzecz nabiera nieoczekiwanych sensów i znaczeń. Robi się nawet aluzyjna do naszych czasów, ironiczna, sardoniczna. Ha! ha! jak to dobrze, że cenzury nie ma!

Nie mogę powiedzieć, że sposób teatralizacji „Biesiady” w pełni mnie przekonał. Pomysł wyjściowy, taki a nie inny sposób zabudowy przestrzeni, wyczerpuje się przedwcześnie, utrudnia aktorom kontakt. Wykonawcy też nie zaimponowali mi nadmiarem inwencji. Są skrepowani kaftanami własnych, osobistych stereotypów. Chciałbym przypisać to premierowej tremie, że niektórzy z nich byli źle słyszalni i niezbyt zrozumiali w tym, co mówią, zwłaszcza, gdy mówią pełnym głosem. Może, gdyby zliczyć widoczne skazy przedstawienia, sprawiedliwie by było ocenić je surowo? Dalibóg nie mogę, gdy widzę, że o coś niebagatelnego w nim chodzi i że to do widowni dociera. Teatr nieczęsto styka się z życiem. Tutaj się styka i iskrzy. To niemało. Choć szkoda, że nie parzy.

TADEUSZ BURZYŃSKI

Spotkanie z teatrem

Bigos polski

bolesne szyderstwa, przykre nieraz diagnozy długo pozostaną aktualne. Z tego powodu warto mu udzielić głosu, np. w teatrze, choć wiąże się to z dwójakim ryzykiem: możemy usłyszeć coś nieprzyjemnego i możemy zobaczyć coś artystycznie chybionego, albowiem Gombrowicz trudnym autorem jest.

We wrocławskich teatrach mamy nowego Gombrowicza, tym razem w Kameralnym: „Biesiadę u hrabiny Kotlubaj”, którą inteligentnie przyrządził Jacek Bunsch ze znaczącą pomocą scenografa Wojciecha Jankowiaka i kompozytora Zbigniewa Karneckiego. Reżyser nawiązuje najwyraźniej do swojej wcześniejszej realizacji „Historii”. Ale tym razem Witold jest już Witoldem, człowiekiem świadomym pułapek, jakie się kryją w formach i konwenansach, w grze stereotypów, maskaradach intelektualnych i wielu innych osobli-

perwersji gastronomicznej. Witold (ten sceniczny, grany przez Wojciecha Ziemiańskiego), ma już pewien dystans do tej młodzieńczej przygody. Nie opowiada więc już dokładnie, jak było. To i owo ujmuje, dużo dodaje, nie powstrzymując się nawet od dyskretnych bluźnierstw.

„Biesiada”, doprawiona cytatami z innych opowiadań Gombrowicza, inspirowana też jego „Dziennikiem”, przybiera kształt osobliwej szopki, w której „kołęduje się” polskimi pieśniami patriotycznymi, spełnia po kabotyńsku misterium ofiarne, dyskutuje „po Wyspiańsku” o Polsce i pędzi wolnościowym kuligiem, hen, ku... diabli wiedzą ku czemu. Ale nie martwmy się. Nad wszystkim czuwa Ksiądz, w samą porę intonujący odpowiednie modły, a raczej — w tym wypadku — zaklęcia.

W ten sposób opowiadanie napisane poniekąd dla wpraw-

Teatr Polski (Scena Kameralna) we Wrocławiu: „Biesiada u hrabiny Kotlubaj” wg Witolda Gombrowicza. Scenariusz i reżyseria: Jacek Bunsch. Scenografia: Wojciech Jankowiak. Muzyka: Zbigniew Karnecki. Wykonawcy: Wojciech Ziemiański, Danuta Balicka, Iga Mayr, Zygmunt Bielawski, Bogusław Danielewski, Wiesław Orłowski, Henryk Niebudek, Tadeusz Szymków. Premiera 19 października 1990 r.

1990/91